



Orbitowski: A gdybyś miała mnie zabić, jak byś to zrobiła?
Bonda: Nie byłoby łatwo, trudno jest umrzeć z ręki amatora. Spory z ciebie chłop, sama bym nie dała rady ani cię skasować, ani pozbyć się zwłok

SZEŚĆ METRÓW POD PSEMEM

ROZMAWIAJĄ
KATARZYNA BONDA
ŁUKASZ ORBITOWSKI



OKULARNIK
 KATARZYNA BONDA
 Muza, Warszawa



INNA DUSZA
 ŁUKASZ ORBITOWSKI
 Od deski do deski, Warszawa

Łukasz Orbitowski debiutował jako autor powieści grozy. Jednak z powieści na powieść coraz bardziej oddalał się od świata konwentów fanów sf. Przedostatnia z nich, „Szczęśliwa ziemia”, była nominowana do Nike. Teraz wydał książkę osnutą na aktach sprawy podwójnego mordercy (o „Innej duszy” czytaj na s. 61).

Katarzyna Bonda, zanim zaczęła pisać bestsellerowe kryminały, była dziennikarką, a jej głównym miejscem pracy była sala sądowa. Wydała właśnie kolejną powieść kryminalną z cyklu, którego bohaterką jest profilerka Sasza Zaluska. Jednak w kryminalnej zagadce „Okularnika” (czytaj na s. 61) zawarta jest również prawdziwa historia powojennego polskobiałoruskiego pogranicza. Historia, która podważa mit „żołnierzy wyklętych”.

Posadziliśmy tych dwoje naprzeciwko siebie i zadaliśmy im pytanie: po co wam są potrzebne prawdziwe zbrodnie?

Ł.O.: Wiesz, jak się pozbyć nieboszczyka?

K.B.: Najlepszy jest ług. Albo kret. Tylko trzeba pamiętać o zębach. Nie rozłożą się, podobnie jak podroby: wątroba, nereczki. Zawierają za dużo wody, więc lepiej je zakopać. Idealna jest głębokość sześciu metrów.

Ł.O.: Sześć metrów? Trzeba by szalunek zakładać.

K.B.: Ale dopiero do tej głębokości ani zwierzyna się nie dokopie, ani ziemia nieboszczyka nie wyrzuci. A na górze koniecznie musi być pies.

Ł.O.: Jasne: jeśli nad denatem zakopiesz truchło, to kiedy pies złapie trop, dokopie się najpierw do zwierzęcych zwłok i na nich skończy.

K.B.: W kryminałach wykorzystywano ten motyw: ktoś widzi, jak nieznajomy zakopuje w lesie psa. I nie wie jeszcze, że tak naprawdę nie o psa chodzi.

Ł.O.: Ale gdybyś miała mnie zabić, jak byś to zrobiła?

K.B.: Nie byłoby łatwo, trudno jest umrzeć z ręki amatora. Spory z ciebie chłop, sama bym nie dała rady ani cię skasować, ani pozbyć się zwłok.



E.O.: No właśnie, trudno jest zabić człowieka. W „Innej duszy” musiałem zawrzeć dwa opisy morderstw. Każdy wyszedł mi na dziesięć stron. Nie dlatego, że chciałem się pastwić nad ofiarami i czytelnikami. Ale kiedy zbadałem sprawę, okazało się, że jeśli nie masz fachowej wiedzy, lecz jedynie jesteś zdolnym amatorem, zabójstwo to sakramencki wysiłek, bywa, że i godzina ciężkiej pracy.

K.B.: Poza tym musisz mieć dobre narzędzie, tymczasem większość zbrodni dokonywana jest w afekcie. Z pomocą tego, co akurat jest pod ręką. Te najstraszniejsze, o których mówi się, że są bestialskie, bo nastolatki zadawały ofierze pięćdziesiąt ciosów, zwykle nie są efektem jakiegoś szczególnego zezwierzenia. Po prostu zabójcy nie radzili sobie z ofiarą. Był taki głośny przypadek na warszawskim Tarchominie, gdy nastoletni bandyci uśmiercili kobietę – obserwowałam proces jeszcze jako dziennikarka. Oni mieli tylko tępe noże i po kolei próbowali nimi zabić. Do skutku.

Douglas i Ressler, profilerzy i agenci FBI, badali najbardziej znanych amerykańskich zabójców i stwierdzili, że relacja, która łączy zabójcę i jego ofiarę, jest silniejsza niż seks. Bez względu na to, czy zabójca jest psychopata, czy też mamy do czynienia z rogiacizną (zabójstwo męża) albo zbrodnią kapuścianą (przemoc domowa), zawsze jest tak samo. Nawet psychopaci muszą więc radzić sobie z nawracającymi, przesładowczymi wspomnieniami.

E.O.: Ale – aż boję się tej myśli – zabicie człowieka to musi być straszliwy haj. Nie mamy nad człowiekiem większej władzy niż wtedy, kiedy odbieramy mu życie.

K.B.: Dlatego zbrodnia niektórych uzależnia. Jeśli morderca dokonuje kolejnych zabójstw, jego motywem jest nie kasa, miłość, seks, ale władza, kontrola i potrzeba dominacji.

E.O.: Płeć ma znaczenie?

K.B.: Kobiety są straszniejsze. Przede wszystkim dlatego, że znacznie trudniej jest im przekroczyć granicę, za którą jest zbrodnia. Więc kiedy są już po

drugiej stronie, nie myślą o karze, o sumieniu – chwytają za nóż i najczęściej kasują sprawcę swojego upokorzenia. Ciekawe, że one tak często sobie tę scenę wyobrażały, tak często odgrywały w swoich głowach, że wystarczy jeden cios. Trafiają jak zawodowcy.

E.O.: Skąd wiesz?

K.B.: Napisałam nawet o nich książkę: „Polskie morderczynie”. Wiedza, którą zebrałam przy okazji, przydała się przy kolejnych powieściach. W cyklu o Saszy Zaluskiej moja bohaterka, profilerka, rozpracowuje zbrodniarki naukowo.

E.O.: Ty chyba podobnie podchodzisz do pracy nad swoimi kryminałami. Ze mną było odwrotnie. Dostałem od wydawcy zlecenie na kiler. Przyszło w formie listy przypadków, do wyboru. Miałem wybrać jedną sprawę i napisać prozę z gatunku true crime, prawdziwe zbrodnie. Odrzucałem jednak kolejnych morderców. W końcu zatrzymałem się na chłopaku z Bydgoszczy, zabójcy dwóch osób, kuzyna i sąsiadki. Wziąłem go na cel z jednego powodu: kompletnie nie rozumiałem, dlaczego zabijał. Więcej – kiedy przeczytałem akta jego sprawy, zobaczyłem zdjęcia jego ofiar, zrozumiałem, że ja go nigdy do końca nie zrozumieję. Mógłbym uciec w psychoanalityczne kuglarstwo. Bo przecież najprościej byłoby powiedzieć: był z zimnego chowu, poniżany w szkole, więc zaczął realizować swoją potrzebę dominacji, zabijając. Ale nie chciałem takiego rozwiązania, było zbyt oczywiste.

K.B.: I na tym polega odmienność twojej książki: w kryminale chodzi o to, żeby rozwiązać zagadkę, ty zajmujesz się tajemnicą, na którą prędzej czy później się nadziejemy, próbując pojąć motywację zabójcy. Jednak i u mnie, i u ciebie podstawą jest sekret. Na warsztat biorę tylko sprawy kryminalne, których nie rozumiem. Inaczej wyszłaby z tego publicystyka, a nie literatura.

E.O.: Ale wyłonił się kolejny problem: kiedy czytałem surówkę z akt, rozumiałem, że historia mojego bohatera jest cholernie nudna. Szybko musiałem więc skorygować pierwotny pomysł:

zamiast udawać, że opisuję detalicznie prawdziwą historię, zacząłem pisać po prostu powieść wysnutą z akt. Przetwarzając rzeczywistość, starałem się jeszcze bardziej ją skomplikować – tak aby utrudnić objaśnienie mojego bohatera. To chłopak z dobrej rodziny, dostaje w niej to, co dziecko dostać powinno, troski ani miłości mu nie brakowało, a jednak wyrósł na mordercę.

K.B.: Bo realne zbrodnie są nudne. Dlatego, choć rzeczywistość bywa ciekawsza niż fikcja, true crime pisze się chyba trudniej. Prawda często nie chce się układać według dramatycznych schematów. Nawet katalog motywów zbrodni jest ograniczony zaledwie do siedmiu: zemsta, rabunek, krzywda i uraza, motyw seksualny, pedofile, podpalacze, szaleńcy. To wszystko.

Ł.O.: Dlatego atrakcyjność polskiego kryminału polega często na budowaniu pewnej uludy. Chociażby Marek Krajewski: u niego zawsze musi być jakaś martwa kobieta bez rąk, z zaszytymi w brzuchu skarabeuszami. Nazywam to zbrodnią pozytywkową. Mała, kunsztowna, piękna, przemyślana. A w życiu to tak nie wygląda. Podobnie jak w realu nie ma Hannibali Lecterów.

K.B.: Makabra i estetyzacja zbrodni to nie jest moje hobby. Oczywiście piszą do mnie ludzie, którym się wydaje, że „piękna śmierć” mnie chorobliwie kręci. Ale tak naprawdę mnie nudzi. Kiedy czytam o takich – jak to nazywałem – pozytywkowych zbrodniach, natychmiast odklejam się od fabuły. Kuba Rozpruwacz, który tak „pięknie” kroił swoje ofiary, działał na wyobraźnię przed stu dwudziestu laty, bo był nieuchwytny. A był nieuchwytny, bo nie było dzisiejszych technik kryminalistycznych. Teraz wykryliby go w jeden dzień.

Dziś ornamenty z wnętrzości, uduziwnianie, owijanie kobiety sznurkiem jak baleron i wkładanie jej do ust latarki jest tak zgrane, plastikowe, że przestało działać. Kryminał przeraża innymi środkami, pokazując, że zwyczajny człowiek może przekroczyć granicę, za którą jest śmierć. A kiedy tak podchodzisz do zabójcy, okaże się, że nawet jeśli rozumiesz motyw, rozbierzesz sprawę na czynniki pierwsze, to i tak

nie masz odpowiedzi na pytanie, dlaczego ktoś zabija. Każdy ma własną siatkę motywacji, w której pojawiają się zapętlenia i konflikty popychające do zbrodni.

Ł.O.: A w rzeczywistości często się okazuje, że morderca to jest jednak tępak odklejony od rzeczywistości. I w tym sensie rzeczywistość zbrodni stawia pisarzowi opór. Bo jak pisać powieść, mając za bohatera kogoś nie dość, że niezrozumiałego, to jeszcze nienadającego się ani do powiastki w stylu „obłąskawianie zła”, ani „nihilistyczna jazda”? A mi zależało, żeby nie napisać czegoś, co można by odczytać jako zachętę do czynienia zła. W konsekwencji, zupełnie przy okazji, wyszedł mi głos niechęci do seriali typu „Dexter” czy „Synowie Anarchii”, gdzie mamy fajnych kilerów z grubą warstwą krwi na rękach, którzy jednocześnie zyskują sympatię widzów. Sam je oglądałem nie bez przyjem-

go zdania. Dramaturgia to elementarz...

Ł.O.:...którego nawet nie próbowałem opanować. I wcale nie jestem pewien, czy jest taki niezbędny. Chandlera nie czytamy po to, żeby dowiedzieć się, kto zabił. Weźmy jego słynny monolog w „Długim pożegnaniu” – kilka naciąganych stron o blondynkach. Czy on buduje napięcie?

K.B.: Klasyków kryminału nie jara zbrodnia ani trup. Ich interesowała, ciebie zresztą też, zagadka. Ja koncentruję się na jej rozwiązaniu. A to oznacza precyzję, o co nie jest łatwo, bo jestem potwornie nieuporządkowana. Więc zanim siądę do pisania, obsesyjnie, miesiącami robię szczegółowy plan powieści. Bo kiedy już piszesz, to najpierw odjeżdżasz, potem odlatujesz, więc trzeba przynajmniej wiedzieć, dokąd powinno się wrócić.

Ł.O.: Takie poczucie bezpie-

DZIŚ KUBĘ ROZPRUWACZA WYKRYLIBY W JEDEN DZIEŃ. M.IN. DLATEGO WSPÓŁCZESNY KRYMINAŁ PRZERAŻA NAJBARDZIEJ TYM, ŻE POKAZUJE ZWYCZAJNEGO CZŁOWIEKA, KTÓRY PRZEKRACZA GRANICĘ, ZA KTÓRĄ STAJE SIĘ ZABÓJCĄ

ności, ale pomyślałem sobie, że zrobię coś na przekór tendencji i napiszę, jak to naprawdę wygląda: zabija zero.

K.B.: Ty mogłeś sobie na to pozwolić.

Ł.O.: A ty nie? Obszar, który się nazywa kryminałem, spuchł niesłuchanie. Kto by się odważył wyrysować jego granicę?

K.B.: Jesteśmy skazani na ich przekraczanie. Wszystko już zostało powiedziane, więc musimy wychodzić z siebie, ryzykować. Pojawia się np. bohater, z którym powinienieś teoretycznie pozostać do końca książki, ale ty go już w drugim akcie zabijasz. Ale mimo to w kryminale wciąż chodzi o to samo: masz zabrać swojego czytelnika do Hadesu i zapewnić mu bezpieczny powrót. W czasie tej podróży czytelnik musi nieustannie trwać w napięciu – od pierwszego do ostatnie-

czeństwa zapewnił mi szczegół. Żeby opowiedzieć świat mojego zabójcy, musiałem nie tylko przypomnieć sobie z detalami Polskę lat 90. – jej kolory, zapachy, gadzety, smaki – ale też poznać szczegółowo topografię Bydgoszczy, gdzie rozgrywa się „Inna dusza”. Do tego musiałem wniknąć w życie wojska Legii Cudzoziemskiej i w proces artystycznej produkcji tortów. W takiej sytuacji okazuje się, że pisarz może niewiele umieć, ale musi znać właściwych ludzi. Spytałem więc znajomego, czy nie ma dla mnie kogoś z Legii Cudzoziemskiej. Miał. Spotkaliśmy się i mam materiał na pół rozdziału. Potrzebuję cukiernika – zaraz mam czterech. Opowiadają, a ja widzę, kiedy świecą im się oczy, co ich najbardziej w robocie kręci. Pewnie gdybym potrzebował anatomopatologa, też bym go znalazł.

K.B.: Ale to nie znaczy, że nie da się napisać kryminału bez wi-

zyty w prosektorium i asystowania przy sekcji zwłok. Pewnie, jeśli ukrywasz ciało, musisz dokładnie wiedzieć, jak. Musisz wiedzieć, ile jest metrów do przebiegnięcia, ile jest schodków, jeśli opisujesz czyjaś ucieczkę. Te rzeczy zwykle nawet nie wchodzi do fabuły, ale nie da się dobrze zbudować sceny bez swobodnego poruszania się po świecie, o którym piszesz.

W „Pochłaniaczu” scenę z pobieraniem zapachu na miejscu zbrodni napisałam z głowy. Pokazałam ją specjalistom. Zjechałi mnie. Pojechałam więc do Lublina do najlepszych osmologów w kraju. Dali mi do ręki prawdziwy pochłaniacz, zebrali mój zapach, pies go rozpoznawał. To była konkretna, niezbędna dla fabuły wiedza. Wiedza, a nie dane. Bo co z tego, że mam jakieś informacje? Chodzi w gruncie rzeczy o mechanizmy, emocje, detale, które będziesz mógł włożyć do powieści. A jak tracisz dystans i pchasz do powieści wszystkie informacje, którymi się podjarałeś, to się nie dziw, że ci się fabuła nie składa.

Ł.O.: Ale mogą być również inne motywacje. Choćby ta: dbałość o realia sprawy, że czytelnik czuje, że jest traktowany z szacunkiem, że autor zrobił wszystko, by pokazać mu nieznaną świat z maksymalną wiernością i minimalnym dystansem. Ale dla mnie najważniejsze i tak było co innego. Otóż założyłem sobie, że w „Innej duszy” mnie nie będzie. Wcześniej byłem potwornie egotycznym pisarzem. Rozwiódłem się, napisałem książkę o rozstaniu, miałem kryzys po trzydziestce, napisałem o tym kryzysie, wciągając w to nawet kreteńską mitologię. Ale w końcu powiedziałem sobie dosyć, przestań się babrać w swoich emocjach, których uzewnętrzanie przed światem ma duży poziom żalności. Przyjrzyj się światu. Musisz iść do ludzi i uczyć się od nich.

K.B.: Wyobrażam też sobie, że autor szuka sposobu, by głębiej wejść w mrok, więc idzie do prosektorium, bierze udział w sekcji. Bo do tej pory śmierć, trup, zbrodnia były tak bardzo poza jego horyzontem, że musi sobie coś zrobić, żeby w ogóle móc napisać kryminał. Taką motywację kupuję. Ale nie babranie się w nieboszczykach dla samej przyjemności babrania się. Przecież ty z ope-

wieści legionisty wzięłaś to, co było ci niezbędne do budowania fabuły, a nie dogadzałaś własnej chłopackości i nie bawiłaś się w wojnę.

Ł.O.: W ogóle nie było mowy o zabawie. Punktem wyjścia „Innej duszy” była jednak prawdziwa historia. Uznałem, że mogę nad nią pracować, ale pod warunkiem że uda mi się powiedzieć przy okazji coś sensownego, wartościowego, a nie posłużyć się nią do pompowania ego i konta. Najgorsze, co mogłoby mi się przydarzyć, to oskarżenie, że żeruję na czyjejś tragedii, a to jest ten rodzaj oskarżenia, którego nie da się odeprzeć inaczej niż jakością i sensownością tego, co piszesz.

K.B.: Ja jednak, pisząc po prostu rozrywkową, kryminalną prozę, mam wszystkie narzędzia, aby opowiadać tak, żeby nikogo nie ranić.

Ł.O.: Ale czy to rzeczywiście „po prostu rozrywka”?

K.B.: Pracuję w show-biznesie i wcale się tego nie wstydę. Nie

mam ambicji wysokoartystycznych, staram się, żeby język, którym piszę, nie stawiał czytelnikowi oporu.

Ł.O.: To skąd u ciebie na spotkaniach promocyjnych biorą się ludzie z ONR-u? Oni też szukają rozrywki?

K.B.: Nie uważam, że rozrywka musi być ludyczna. Dlatego w „Okularniku” wracam do mojej rodzinnej Hajnówki i opowiadam kawałek przeszłości tego świata, który został gruntownie wyparty. To historia z tego samego momentu dziejów, który fantastycznie opisała Magda Grzebałkowska w „1945. Wojna i pokój”. Choć miejsce i bohaterowie inni: Polacy i Białorusini, ich wojenne pokrecone losy, żołnierze „Burego”, których dziś nazywają „wyklętymi”, a byli bandytami, którzy dokonali mordu na białoruskiej ludności. Słyszałam: przyszło, więc nie rozdrapuj. Ale właśnie trzeba rozdrapywać. Uważam, że to wręcz moja misja, skoro czytają mnie i licealiści, i seniorzy.

No i teraz przychodzą na promocję „Okularnika” ludzie

z ONR-u. Ostatnio zaprosiłam ich do pierwszego rzędu. Twarzą w twarz nie są już tacy butni, więc zamiast krzyczeć i pohukiwać, zadali mi jedno pytanie: dlaczego kalam pamięć „żołnierzy wyklętych”. A przecież nie chodzi mi o kalamie, tylko o zadawanie pytań. Niewygodnych, więc ważnych. Ja też miałam do nich pytanie: czy czytali książkę. Powiedzieli, że nie zdążyli. Potem, po spotkaniu, jeszcze długo gadałiśmy.

Ł.O.: A co byś zrobiła, gdyby na spotkanie przyszła matka ofiary morderstwa, które opisałaś w książce?

K.B.: Mówiłam ci już: piszę powieści kryminalne, to zawsze jest fikcja. Kiedyś znalazłam w aktach historię kobiety, która po śmierci dziecka uciekała do ogrodu, w którym znów się z nim spotykała. To był początek „Florystki”: matka, która nie może się pogodzić ze śmiercią swojego dziecka. To tak jak z wielowymiarową kaskadą włosów, którą młody dziennikarz Gabriel Garcia Márquez zobaczył wyle-

wającą się z likwidowanego grobowca sprzed dwustu lat. Wokół tego jednego obrazu stworzył całą powieść „O miłości i innych demonach”.

Ł.O.: Z rzeczywistości nie warto brać tego, co pachnie zainteresowaniem mediów. Lepiej pracować w czystym powietrzu. Tym bardziej że mogłabyś sto razy powtórzyć, że zajmujesz się – dajmy na to – mamą Madzi nie dla poklasku i kasy, ale nikt ci w to nie uwierzy. Ja sam bym w to nie uwierzył.

K.B.: Dlatego nie lubię książek, w których z kryminalistów robi się bohaterów, a autor zredukowany jest do statywu pod dyktafon.

Jednak najgorsze jest wykorzystywanie rzeczywistych faktów do prywatnej zemsty i udawanie, że to wszystko fikcja. Autor ma prawo do przetwarzania i interpretowania rzeczywistości – nawet jeśli to boli – ale nie powinno się za pomocą literatury załatwiać własnych spraw. Temu lepiej służyć stolik, butelka i dwa kieliszki.